

Łucja Drabczak

Moje Chiny

Niepodległość i Pamięć 12/1 (21), 267-289

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Łucja Drabczak

Gdańsk

Moje Chiny

Jest rok 1908. W Polsce panuje głód, bezrobocie. Michał Graczyk z zawodu kolejarz-maszynista, wraz z żoną Heleną z domu Wierzbowską i jednorocznym synkiem Apolinarem opuszczają Łomżę i jadą „za chlebem” do Harbina w Mandżurii. Przed wyjazdem do Chin babcia udaje się do Częstochowy, aby pomodlić się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, prosząc o opiekę i szczęśliwą podróż. Stamtąd przywozi poświęcony obrazek z Jej wizerunkiem i zabiera do Chin. Przed śmiercią przekazuje go memu ojcu, a on przywozi z powrotem do Polski. Teraz obrazek należy do mnie.

W 1896 roku została utworzona Spółka Akcyjna Kolei Wschodnio-Chińskiej. Budowę linii miał realizować Zarząd Główny, którego wiceprezesem był inż. Stanisław Kierbedź. Na czele ekspedycji wytyczającej szlak kolei stał inż. Adam Szydłowski. On też uważany jest za faktycznego założyciela miasta.

Harbin był wówczas małą wioską składającą się z paru chińskich *fanz* [chałup], położonych nad brzegiem rzeki Sungari (obecnie Songhua).

Miasto rozwijało się w ogromnym tempie. Otworzono tu pocztę, różne sklepy, między innymi magazyn Czurina, Klub Kolejowy, założono kanalizację. Zbudowano most łączący brzegi rzeki Sungari. Do Harbina zaczęli przybywać ludzie z różnych krajów, wśród nich uciekinierzy z Rosji. Powstały konsulaty: francuski, belgijski, angielski i inne.

Przyjeżdżając do Harbina dziadek znajduje zatrudnienie na kolei, której właściwie jeszcze nie ma.

Michał Graczyk pracuje wraz z Chińczykami-kulisami przy budowie odcinka Harbin – Port Artur. Potem jeździ już jako maszynista do samej emerytury. Z okresu jego pracy pozostała popielniczka, którą otrzymał w rocznicę 25-lecia kolei.

W tym czasie ucieka z zesłania z Syberii Jan Jasiński, rodem z Milanówka. Zatrudnia się również przy budowie kolei żelaznej. W Harbinie poznaje Polkę z Brześcia Litewskiego, Helenę, która przyjechała ze swoją matką odwiedzić daleką kuzynkę. Jan pokochał ją, mimo że wcześniej miał już córeczkę z pewną Rosjanką. Po ślubie z Heleną umierająca na gruźlicę Rosjanka przyprowadza córkę Margeritę. Babcia oczywiście wybacza Jasińskiemu i ma z nim jeszcze czworo dzieci – pierwszym z nich jest moja mama.

Dziadek Jan był bardzo urokliwym człowiekiem. Pamiętam go bardzo dobrze, zęgnąłam się z nim przed samym wyjazdem do Polski. Już nie był taki młody, ale bardzo zadbany, elegancki i pięknie mówił po polsku. Nigdy nie nauczył się mówić czysto po rosyjsku. Jego urok osobisty działał nie tylko na babcie. Miał przeróżne romanse. Na początku babcia nie mogła w to uwierzyć. Gdy jednak osobiście się o tym

przekonała, nie było odwrotu. Wystawiła jego rzeczy i została sama z pięciorgiem dzieci. Zrobiła kurs krawiecki. Ze służbowego domku kolejarskiego wyprowadziła się do centrum Harbina. Zamieszkała na jednej z bocznic głównej ulicy „Kitajskiej” w murowanej kamienicy należącej do Chińczyków. Babcia szyła w domu i z tego utrzymywała dzieci. Jeden z pokoi wynajęła staremu kawalerowi. Był to bardzo spokojny, wykształcony, skromny człowiek o imieniu Jan. Nazwiska nigdy nie poznałam. Pracował jako wykładowca na Politechnice Harbińskiej. Ponieważ doskonale znał język japoński z nakazu został tłumaczem w żandarmerii japońskiej, aż do wkroczenia wojsk radzieckich.

Lokator zajął się edukacją i wychowaniem dzieci. W ten sposób miałam trzech dziadków i właśnie najbardziej pokochałam tego „trzeciego”.

W sierpniu 1945 byłam akurat u babci i czekaliśmy z obiadem na dziadka. Przychodził zawsze około 16 do domu. Kot zawsze czekał na niego pod drzwiami, a teraz skoczył nagle na parapet okna i zaczął się dziwnie zachowywać. Pazurkami drapał po szybach, przy tym okropnie miauczał. Dziadek nie przychodził, babcia nakazała mi siedzieć grzecznie i nikomu nie otwierać. Wyszła, ale dość szybko wróciła zapłakana i zaczęła palić jakieś papiery. Do mnie powiedziała, że dziadek musiał nagle wyjechać. Okazało się, że zabrali go z pracy żołnierze radzieccy. Został wywieziony na Syberię do łagrów. Był tam do śmierci Stalina. Przez kilka lat żył jeszcze w Alma-Acie (Kazachstan), gdzie wywieziono również z Harbina siostrę i brata mojej mamy. Miał tam bardzo troskliwą opiekę, był przez nich kochany i szanowany.

Przebywając w łagrach odczytał się jeść obiady. Jadł tylko suchy chleb i pił herbatę. Opowiadał, że jego towarzyszką w chatce na Syberii była kura, której nigdy nie mógł zabić (otrzymał ją na rosół jak był chory).

Nigdy nie chciał opowiadać o tym czy był bity. Lekarka, która go leczyła w Alma-Acie mówiła, że miał odbite nerki. Żył tylko dwa lata po zsyłce i bardzo cierpiał. Nikt dokładnie nie poznał historii jego życia. Wiem tylko, że z pochodzenia był Rosjaninem.

Wracam do moich rodziców. W 1925 roku ojciec ukończył szkołę samochodową i otrzymał międzynarodowe prawo jazdy. Od rodziców dostał samochód marki Ford (z tyłu miał pojemnik na klocki z drewna) i jeździł po Harbinie jako taksówkarz.

Ojciec mój miał rok jak opuścił Polskę, więc nie posiadał żadnych dokumentów. Specjalnie nie były mu potrzebne, lecz gdy Japończycy zajęli Mandżurię zaczęli robić porządki. W 1933 roku Wojewoda Warszawski (w podpisie S. Twardo) nadał mu obywatelstwo Państwa Polskiego.

W 1936 roku ojciec zostaje zwolniony ze służby wojskowej. Poznaje też moją mamę Helenę Jasińską, która pracuje w tym czasie w aptece Sant'e w Harbinie. Zakochują się w sobie i biorą ślub w kościele rzymsko-katolickim im. św. Józefata w Harbinie-Pristań.

Przychodzę na świat już w dużym, pięknym europejskim mieście z dzielnicami: rosyjską, chińską, amerykańską, japońską.

Budowa kolei wschodniochińskiej spowodowała, że Harbin przeistoczył się w miasto, które posiadało wyższe szkoły, między innymi politechnikę, 2 kościoły katolickie (pod wezwaniem św. Stanisława i św. Józefata), cmentarz katolicki, szkołę polską im. H. Sienkiewicza, klub polski zwany „Gospodą”. Statut tej organizacji zatwierdzono 10 września 1907 roku, zaś jej prezesem został Wiktor Roman. Już w tym samym roku przy „Gospodzie” rozpoczęła działalność pierwsza początkowa szkołka polska

oraz kurs języka polskiego dla dorosłych. W siedzibie organizacji koncentrowało się życie kulturalne Polonii, odbywały bale i uroczystości.

Nadano mi imię Łucja. Mama bardzo chciała Iwonę, lecz chrzestny (Polak Jan Bobrowski) zapomniał jakie imię miał podać księdzu. Stwierdził, że skoro jego żona ma na imię Łucja, to ja też mogę się tak nazywać. Nazywali mnie Łucka.

Pamiętam, że lato w Harbinie było bardzo upalne, więc ubierano mnie na biało. Głowa ostrzyżona na łyso, mama ludziła się, że włosy urosną bardziej gęste. Na głowie zawsze biała czapeczka, biała sukienka, aby nie przyciągać dodatkowo promieni słonecznych.

W lecie największą radością był moment wyjazdu na drugą stronę rzeki Sungari, gdzie rodzice wynajmowali tzw. daczę. Sąsiadami były przeważnie chińskie rodziny z dużą ilością dzieci. Dla mnie to był raj. Biegałam po chińskich chałupach, a szczególnie lubiłam robić to w porach obiadowych. Siadałam w kuchni przy garach i tak długo wytrzeszczałam w nie oczy, że nikt nie miał sumienia, aby mnie nie poczęstować. Wszystko ogromnie smakowało, chociaż niektóre potrawy były ostre. Obiady w domu były za to katuszą. Mama prowadziła kuchnię europejską.

Wśród dzieci chińskich była zupełnie biała dziewczynka-albinoska. Wyróżniała się bardzo. Razem bawiłyśmy się kamyczkami: podrzucano się je do góry, łapało, a na końcu trzeba było mieć w ręku wszystkie 5 kamyków. Była też zabawa kolorowymi kulkami ze szkła: kuleczkę należało tak pchnąć, aby wpadła do dołka. Wygrał ten, kto z dołka zgarnął najwięcej kulek.

Tam nauczyłam się też bawić w „kunie” („kunia” – to dziewczynka). Mama bardzo tego nie lubiła. Zabawa polegała na tym, że rwało się miechunek, ze środka brało się owoc podobny do rodzyńka. Ma on maleńką plamkę na środku. W tę plamkę wkładało się starannie igłę lub szpilkę tak, aby nie uszkodzić owocu. Wysysało się dokładnie jego zawartość, a skórkę wkładało się do buzi tak, aby dziurka była na zewnątrz i wciągało się powietrze. Skórka robiła się pełna, teraz tylko powietrze wypuścić. Odgłos dla ucha nie był zbyt przyjemny. Wygrywał ten, kto najgłośniej to robił.

Któregoś dnia odbywały się zawody pływackie, w których brał udział mój ojciec. Babcia była akurat u nas na „daczy”. Powiedziała, że zna drogę na skróty i pójdziemy ojca przywitać na mecie. Zrobimy mu niespodziankę. Z radością poszłam z babcią. Z początku dobrze się szło, a potem jakoś nie bardzo. Pod nogami było tak mokro, że aż miękko. Nad głową całe roje małych dokuczliwych muszek. Machałyśmy to jedną, to drugą ręką, ale nic nie pomagało. Cięły nas tak, jakby ostrą żyłką. Ręce i nogi całe umazane we krwi, okropnie swędziały. W pewnym momencie spojrzałam na twarz babci i się przestraszyłam. Była to duża, spuchnięta kula bez oczu z jakąś mniejszą kulą zamiast nosa. Muszek było coraz więcej, miejscami nie było nic widać, tylko ich roje. Idziemy pomału, wszystko puchnie i nie bardzo możemy się poruszać. Z nieba leje się żar, bardzo chcę pić, ale babcia tłumaczy, że nie możemy tej wody pić. Jest brudna i można zachorować na tyfus. Wreszcie zobaczyłyśmy przed nami chińską chatę. Wyszedł Chińczyk i zaczął się uśmiechać. Potem przyszła żona i 6 lub 7 dzieciaków. Wskakiwali z chałupy jak z katapulty, otoczyli nas kołem i pokazują palcami. Babcia dogadała się jakoś z Chińczykiem (dość dobrze mówiła po chińsku) i poszłyśmy według jego wskazówek. Idziemy, muszki cały czas nas gryzą, a my znowu znalazłyśmy się pod tą samą chińską chatą. Wtedy Chińczyk powiedział, że sam nas zaprowadzi do tej mety. Kiedy doszłyśmy, było już po zawodach. Nasz wi-

dok wszystkich rozśmieszył – jedna duża kula, jedna mała. Ojciec opowiadał potem, że gdyby nie głos babci, to by nas nie poznał.

Ostatnia moja przygoda związana z rzeką Sungari miała miejsce, gdy wracaliśmy z mamą na „daczę” z Harbina dużą łodzią. Było w niej kilka osób i dwóch przewoźników Chińczyków. Łódź zaplątała się w sieci (które zarzucali tu Japończycy) i było oczywiste, że się przewróci. Okazało się, że nie wszyscy umieją pływać. Powstało zamieszanie. Ja się tak darłam, że zagłuszyłam wszystkich. Wśród pasażerów był też wysoki, silny, w średnim wieku mężczyzna, który zorganizował błyskawicznie całą akcję ratowniczą. Każdy potrafiący pływać miał się zaopiekować tym, który nie umiał. Do brzegu doholowała mnie młoda Rosjanka, mamę wziął pod opiekę Chińczyk przewoźnik, a Rosjanin – jakąś inną kobietę. Nikt nie utonął. Na brzegu wszyscy się ściskali i całowali. Na szczęście nie było burzy, a woda spokojna, w innym przypadku woda by nas pochłonęła.

Naszą rodzinę w przeciągu 2 lat spotkało szereg nieszczęść. Najpierw zmarła babcia Helena Graczyk – mama mojego ojca. Miała tylko 54 lata. Potem zginął w tragicznych okolicznościach brat ojca Piotr. Zostawił żonę Olę – Rosjanę z synkiem, a moim kuzynem Waldkiem.

Ojciec, najstarszy z rodzeństwa, bardzo o nie dbał. Rodzice tak go wychowali, że należy wszystkim pomagać. Siostry uczyły się w klasztorze Urszulanek w języku angielskim (co im się bardzo przydało) i polskim. Oczywiście za wszystko trzeba było płacić. Ojciec ożenił się dopiero, gdy opuściły klasztor. Wkrótce nasze drogi rozeszły się.

Jedna z siostr ojca Helena została zaproszona do koleżanki w Szanghaju. Zabrała ze sobą drugą siostrę Janinę. Poszły razem na bal. Tam Helena poznała pracownika ambasady angielskiej Harolda Jonesa. Trafiła ich strzała Amora. Po dwóch tygodniach Harold oświadczył się. Z Szanghaju udali się samolotem do Londynu. Helena jako narzeczona, a z nią siostra Janina. Do nas przyszedł lotnik, który leciał z nimi i przyniósł od nich wiadomość. Ojciec nie mógł uwierzyć, ale list pisały obydwie.

W Londynie rodzina Jonesa przyjęła Helenę bardzo dobrze. Ciotka po latach pisała, że największym jej problemem jest to, że co roku na bal w ambasadzie musi mieć nową kreację. Nie może stanąć przed królową Elżbietą (która wszystkim żonom podaje dłoni) w sukni, w której już była. Jonesowie mieli 2 córki. Też wychowywały się przez jakiś czas w klasztorze, aby nie zmieniać szkoły, gdy rodzice byli np. na placówce w Egipcie. Jedna z nich pracowała na placówce w Waszyngtonie. Tak jak ojciec skończyła studia polityczne i równie jak on była uczennicą Zbigniewa Brzezińskiego.

Janina wyszła za mąż za biednego emigranta włoskiego o nazwisku Benvenuti. We Włoszech pozostał jego brat inwalida wojenny. Ciotka z mężem bardzo pomagali tej rodzinie. Mieszkali w Ameryce, w Waszyngtonie.

Rodzina w Harbinie zaczęła się zmniejszać.

Olga (bratowa) poznała w Harbinie pracownika banku, wzięła z nim ślub i z synkiem wyjechała do Ameryki – do San Francisco. Tam ciężką pracą dorobili się hotelu w sieci Hilton. Waldek wykształcił się na inżyniera kolejowego.

W międzyczasie piękna siostra mamy Antonina wyszła za mąż za Rosjanina Anatola (nazywaliśmy go Tolik). Był w niej bardzo zakochany. Miał duży sklep w Tiensinie, więc wyprowadzili się z Harbina. Ciotkę pamiętam jako wyjątkowo piękną, skromną i dobrą.

Antonina i Tolik było to wspaniałe małżeństwo. Mieli syna Wiktora, bardzo zdolnego, który został inżynierem w instytucie fizyki jądrowej. Gdy się z nimi spotkałam w Ałma-Acie (obecnie Ałmaty), Tolik był nadal zakochany w Toni.

Z kolei brat mamy ożenił się z Łotyszką Anią. Była jego pierwszą i chyba ostatnią miłością. Ania malowała i specjalizowała się wówczas w portretach. Z ołówka potrafiła wyczarować wszystkie możliwe odcienie szarości. Gdy wywieźli ich do Kazachstanu wykładała w Instytucie Sztuk Pięknych w Ałma-Acie. Nawet tam była bardzo lubiana. To wyjątkowo ciepła osoba i dobry człowiek. Zmarła na zawał serca w wieku 51 lat. Wujek miał problemy z pogrzebem. Nigdzie nie mógł znaleźć księdza, a Ania była katoliczką. Została więc pochowana przez popa. Na jej pogrzeb przybyły tłumy studentów i absolwentów.

Druga siostra mamy Walentyna wyszła za mąż za zbiega z Syberii, który spędził 15 lat w łagrach. Był Rosjaninem i tylko wiem, że miał na imię Fiedia. Wala była w nim tak zakochana, że na wszystkich meblach skrobała jego imię. Miał szpakowate włosy, no i te oczy – niebieskie, dosłownie chabrowe. To w tych oczach tak się pewnie zakochała moja ciotka. Podczas pobytu na Syberii nauczył się robić na drutach. Odtąd mieliśmy wszyscy skarpety z pięknie wyrobioną piętą oraz rękawiczki z palcami. Bardzo go polubiłam.

Ciotka nie pracowała, a Fiedia był strażnikiem w cukrowni, założonej przez Polaka z Lublina. Mieszkali w Aszyche w służbowym domku z ogródkiem i sadem. Było u nich dosyć biednie. Często na obiad jedli kaszę czumizę polaną tłuszczem lub to-fu (pamiętam nazwę tu-fa) pokrojone w kosteczkę z sosem sojowym i chińskim czosnkiem. Chiński czosnek jest zielony, długi, płaski. Inny smak i zapach.

Rodzinę mojej mamy wywieźli z Harbina do Kazachstanu, do Ałma-Aty. Pojechałam ich odwiedzić po 30 latach od momentu rozstania się w Harbinie. Fiedia nie wiedział, że przyjadę. Miała to być niespodzianka. Wiadomo, że nikt mnie nie poznał, ja też miałam z tym problemy. Ale Fiedię poznałam po oczach. Był już stary, siwy całkowicie, tylko oczy zostały te same, chabrowe.

Wracam do Harbina. Pewnego dnia wyprowadzili się sąsiedzi, Rosjanie, z mieszkania obok, a wprowadził się żandarm japoński z żoną (w latach 1931-1945 Harbin był pod okupacją japońską). Żona, śliczna Japonka ubrana w kolorowe kimono z tradycyjną wówczas wysoko upiętą fryzurą. Japonki miały wtedy długie, zadbane włosy, pięknie upinane w rodzaj koku. To wszystko trzymało się za pomocą specjalnego kleju. Była to piętrowa fryzura – myślę, że niełatwa do upinania. Na nogach „japonki” na drewnianych ruchomych podszewkach.

Tak długo kręciłam się obok ich mieszkania, aż któregoś dnia wpuściła mnie do środka. Dzieci nie mieli. W domu sterylna czystość. Na podłodze maty. Szybko zdjęłam buty i od razu usiadłam na macie z podwiniętymi nogami. Japoneczka podsunęła niziutki stoliczek z laki ze słodyczami. Oczywiście nie było żadnej rozmowy, widocznie tak gapiłam się na nią, że pokazała mi na malutkim zegarku do której mogę być. Potem wrócił mąż z pracy. Nadeła policzki, wypchnęła brzuch i od razu wiedziałam o kogo chodzi. Bardzo zresztą się go bałam. Od tego momentu byłam u niej częstym gościem, szczególnie przed obiadem. Lubiłam patrzeć jak gotuje. Raz pokazała oczami czy chcę się poczęstować. Przecież tylko na to czekałam. Więcej nie pytała tylko częstowała różnymi smakołykami.

Kuchnia japońska jest trochę inna niż chińska. Dla mnie wszystko było pyszne. Mamie mówiłam, że idę bawić się do jakiejś koleżanki. Brałam pudełko z lalkami i szmatkami i szłam. Uważnie pilnowałam godziny do której mogłam być. Myślę,

że ona mnie na swój sposób lubiła. Drzwi zawsze były otwarte, ruszyłam kłamkę i już byłam w środku. Na mój widok ładnie się uśmiechała i kłaniała. Ja też się kłaniałam po japońsku. Nigdy nie była smutna lub zła. Zawsze pogodna i spokojna. Rozmawialiśmy na migi lub rysowałyśmy na karteczkach. Karteczki zabierałam ze sobą. Raz mi wypadła, a ona zrobiła groźną minę, że niby mąż mógłby zobaczyć. Razem śmiałyśmy się z tego, ale wpadki nie było. Moi rodzice też o niczym nie wiedzieli. Ciekawe co o tym myśleli sąsiedzi, że biegam jakby nigdy nic do mieszkania żandarma japońskiego. Przecież to była okupacja japońska. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Trwało to do momentu, aż musieli się wyprowadzić. Gdy byłam ostatni raz pogłaskała mnie po głowie i zrobiła smutną minę. Szybko jednak roześmiała się i wytłumaczyła, a właściwie pokazała, że jej męża przenoszą gdzie indziej. Pokazała jak małymi kroczkami idzie za nim. Tak zakończyła się moja przyjaźń ze śliczną Japoneczką – żoną groźnego żandarma. On sam zapewne nigdy nie dowiedział się, że często miał takiego gościa, który mu podjadał smakołyki.

Chodząc do nich musiałam myć codziennie nogi, czego nie bardzo lubiłam przedtem robić. Że też mama nic nie podejrzewała, nie musząc mnie do tego namawiać. Zresztą przy Japoneczce miałam wrażenie, że jestem zawsze brudna. U nich higiena chyba jest we krwi.

Mój ojciec był zapalonym myśliwym. Na polowania jeździł raz w roku na miesiąc czasu. Musiał wtedy dogadać się z Chińczykami, często spał u nich, przez to pewnie znał tak doskonale język chiński (3 narzecza). Nie umiał tylko pisać.

Przygotowania do wyjazdu były frajdą również dla mnie. Ojciec sam robił patrony, śrut grubszy i drobniejszy na ptaki. Siadałam w kuchni obok niego i „pomagałam” wytapiać śrut. Lało się roztopiony, gorący ołów do specjalnego sitka i gotowe kuleczki stygły. „Pomagałam” też czyścić broń. Potem miałam tłuste ręce i sukienkę. Przez te wypadki ojca na polowania mama musiała nauczyć się posługiwać bronią, a nawet granatem. Bardzo nam się to przydało.

Pewnego razu podczas nieobecności ojca przyszedł Chińczyk i mówi, że chce z nim rozmawiać. Miał charakterystyczną twarz z dziobami po ospie.

Po paru dniach w nocy napad. Całe podwórko otoczone, bandytów było dosyć dużo. Obok, za prowizoryczną ścianą mieszkało bezdzietne rosyjskie małżeństwo. Ona wysoka, tęga, a on niski i brzuchaty. Mama zaczęła wołać sąsiada, aby się chociaż pokazał, że jest chłop w domu, ale nie wyszedł, chociaż ścianka z dykty dzieląca korytarz była już wywalona. Żona jego stoi w nocnej koszuli i krzyczy. Niby baba jak piec, a też bezbronna. Mama wyciągnęła ze schowka granat, otworzyła okno i zawołała szefa bandy. Wyłonił się „dziobaty”. Wtedy mama zerwała zawleczkę, na palec założyła kółko i powiedziała, że zginiemy wszyscy, bo pieniądze nie mamy. Oni krzyczeli, że jak nie mamy pieniędzy to siekierą rozwalą drzwi. Sytuacja była groźna. W końcu, choć niechętnie, odeszli. Rano okazało się, że do sąsiada trzeba było wzywać zduna i rozbierać piec. Sąsiad ze strachu wlaź w wąską niszę, z której potem nie mógł wyjść. Później wszyscy się z niego śmiali, a on z głową spuszczoną coś tam mamrotał pod nosem. Ot bohater, zostawił baby same.

Myśliwskimi trofeami ojca były bażanty, dzikie kaczkę i gęsi. Mama je później czyściła, czasem przychodziła pomagać babcia. Potem to wszystko ojciec sam wędził. Do tego celu służyła specjalna komórka. Wędzone mięso układało się na półkach w piwnicy. Był to zapas na zimę. Pamiętam też, że w komórkach na podwórzu wisiały zawsze lniane woreczki z ziarnami prażonej soi. Musiały wisieć, aby powietrze

dochodziło ze wszystkich stron. Był to „żelazny zapas” na wypadek braku żywności – przecież była wojna i wszystko mogło się zdarzyć. Soja jest bardzo zdrowa i sycąca.

Nowy Rok w Chinach obchodzony jest zupełnie inaczej niż w Europie. Tłumy przebierańców jaskrawo wystrojonych chodzących na szczudłach. Na twarzach maski, w rękach kolorowe, jedwabne lub papierowe lampiony o różnych kształtach. Pokazy artystyczne. Dużo hałaśliwej muzyki, huk petard, fajerwerków, kolorowych rakiet. Dzwonią przeróżne dzwonki, a środkiem ulicy tanecznym krokiem przesuwają się ogromny, pstrokaty, papierowy smok, który robi niezwykle wrażenie. Bałam się go bardzo. Teraz wiem, że to symbol władzy, bogactwa i siły. W zwyczaju chińskim jest dawanie w Nowy Rok drobnych prezentów. Na rogu naszej ulicy stał mały sklepik należący do chińskiej rodziny. Rodzice robili tam zakupy. Właściciel zapisywał należności do dużego zeszytu. Raz w miesiącu mama płaciła. Nie potrzebowała nigdy sprawdzać. Nie było mowy, żeby oszukał.

W Nowy Rok właściciel przynosił zawsze duży półmisek, a na nim chińskie pierogi, dla ojca małą butelkę wódki (hańcza) no i moje ulubione smakołyki. Był gotowany ryż zawinięty w liście bambusowe, okrągłe, kolorowe, migdałowe ciasteczka, cieniutkie cukierki jak patyczki o smaku grylażowym. My składaliśmy życzenia pomyślności dla niego i dla całej jego rodziny.

W „Gospodzie” (polskim klubie) często odbywały się dobroczynne bale, podczas których sprzedawano losy loterii fantowej. Każdy los był wygrany. Mama szła na tę loterię piękne szmaciane lalki, wystrojone markizy, z włosami przyklejonymi klejem. Każda była inna. Robiła też niepowtarzalne ozdobne poduszki. Wykonywała to wszystko za darmo, a pieniądze z balu klub przeznaczala dla biednych np. rodzin wielodzietnych. Przygotowywano też paczki dla żołnierzy na froncie. Pamiętam jak mama robiła szaliki, skarpety, kamizelki i zastanawiała się głośno, czy też jakiś polski żołnierz to otrzyma. Ojciec również udzielał się w klubie. Często chodził tam na zebrania.

Na drugim podwórku mieszkała wielodzietna chińska rodzina. Często tam biegałam. Traktowano mnie jak „swoją”. Szczególnie w porze obiadowej, zawsze dostawałam coś dobrego. Chińska mama była w wieku mojej i czasami do niej przychodziła. Moja mama mówiła trochę po chińsku, na tyle aby się porozumieć. Któregoś dnia brama na podwórko została zamknięta. Było słychać jakieś zamieszanie. Zaczęłam podglądać przez dziury w płocie. Na środku podwórka stało duże drewniane pudło. Naokoło papierowe białe kwiaty i kukły. Pobieglam do domu, a tam zasmucona mama zapala chińskie kadzidelka. Powiedziała, że nasza sympatyczna sąsiadka nagle zmarła. Trzeba uszanować jej śmierć i przygotowania do ceremonii pogrzebowych. Nie wolno przeszkadzać ani podglądać. Najgorszy był moment jak pokazały się płaczki. Wszystkie ubrane jednakowo. Ich przejmujący płacz i zawodzenie było słychać przez całą drogę do cmentarza. Ponieśli trumnę wraz z kwiatami i kukłami. Wstydziałam się iść za nimi i gapić się.

Któregoś dnia chciałam mieć drewniane „japonki”. Ich podeszwy robiono jakby z dwóch kawałków drewna połączonych skórzanym paskiem. Gdy się chodziło – były ruchome. Ojciec znalazł takiego pana, który obiecał mi zrobić „japonki” na miarę. Miałam drobne i chude nogi. Ciotka Wala przywiozła mi kiedyś z Japonii dużą lalkę z celuloиду. Miała już trochę nadgryziony nos, mimo to była ładna. Wzięłam ją ze sobą gdy szłam do miary. Córka tych państwa, jak ją zobaczyła, od razu w płacz, że chce taką samą. Nie wiedziałam, że jest poważnie chora na gruźlicę i nie dałam jej nawet potrzymać tej lalki. Zrobiło się głupio i szybko poszliśmy do domu. Tam ma-

ma zaczęła mi tłumaczyć w jak ciężkim stanie jest dziewczynka i zaproponowała, by może sprezentować jej lalkę, skoro tak się jej podoba. Cały czas o tym myślałam. Gdy poszliśmy po gotowe „japonki” dałam swoją lalkę dziewczynce. Ucieszyła się bardzo. Jej ojciec po cichu powiedział mojemu, że jest z nią bardzo źle.

Po kilku dniach odbył się pogrzeb dziewczynki w cerkwi. Pierwszy raz tam byłam. Pamiętam bogato zdobione złotem ikony, dużo cieniutkich świeczek, no i śpiew. To wszystko zrobiło na mnie duże wrażenie. A jak zobaczyłam dziewczynkę w trumnie, zaczęłam płakać na cały głos. W pewnym momencie podszedł do mnie pop i zapytał, dlaczego nigdy mnie nie widzi w cerkwi i w ogóle kim jestem. Wtedy zaczęłam mu tłumaczyć, że jestem katoliczką i chodzę do kościoła. Dał mi cukierki i od tego momentu, jak tylko mnie widział to wołał: Polka, chodź, dostaniesz cukierka! Nie wolno mi było brać słodyczy od obcych, ale w tym przypadku mama pozwalała. Nie bardzo mi się podobała broda popa – była długa.

Na podwórku mieszkała dosyć bogata kupiecka rodzina chińska. Mieli córkę w wieku 12-13 lat. Chodziłam do niej ze swoimi szmatkami i lalkami. Zupełnie ją to nie interesowało. Miała kolorowe bibuły i wycinała z nich różne ażurowe serwetki. Uczylałam się od niej rozmaitych pięknych wzorów. Podstawowe słowa znałam, więc jakoś dogadywałyśmy się. Któregoś dnia podchodzę pod werandę, na której zawsze bawiłyśmy się, a tu zamieszanie. Chińczycy wystrojeni, szybko mówią, więc nie rozumiem. Raptem pod bramę podjeżdża karetą przybrana białymi kwiatami. Dwa konie też wystrojone – w grzywy wplecione białe kwiaty i wstążki z bibuły. Wysiadła młodziutki Chińczyk w czarnym garniturze, w klapie wpięty biały kwiat, biała koszula i białe rękawiczki. No i już nie mam koleżanki. Z domu wychodzi wystrojona w białą długą suknię panna młoda. Twarz ma przysłoniętą welonem. Pewnie mówiła mi, że wychodzi za mąż, ale ja nie rozumiałam. Dopiero mama wytłumaczyła mi, że Chinki często wychodzą bardzo młodo za mąż. Rodzice dziewczynki i chłopca dogadują się już w momencie gdy dzieci się rodzą. W dawnych Chinach mniej cieszono się z przyjścia na świat dziewczynki niż chłopca. Trzeba było dać jej posag, a chłopiec stanowił siłę roboczą.

Pewnego razu wbiłam sobie drzazgę pod paznokieć. Nie powiedziałam od razu mamie o tym. Palec spuchł, paznokieć podszedł ropą. Dziadek załatwił po znajomości dobrego chirurga – Japończyka. Gabinet tego lekarza był oczywiście tak sterylny, że aż strach było wejść. Wszystko błyszczało od czystości i on sam też. Zobaczył palec i powiedział, że trzeba zerwać paznokieć. Mama mi tego nie przetłumaczyła, więc byłam nieświadoma co mnie czeka. Jak już robił zastrzyk to nieźle wylałam, a co dopiero potem. Kazał mamie mocno trzymać mój palec i zaczął podcinać naokoło paznokieć. Mama jak to zobaczyła, od razu zemdląła. Zrobiło się zamieszanie, ja myślałam, że mama umarła, więc wpadłam w histerię. Z pokoju obok przybiegła pielęgniarka i zaczęła mamę cucić, a ja z tym palcem rozpapranym drę się. Biedny Japończyk nie wiedział co ma robić, kazał mamę wyprowadzić. Pewnie pomyślał, że na pielęgniarkę to się ona nie nadaje. W końcu pielęgniarka trzymała mój palec, a lekarz jednym pociągnięciem zerwał z niego paznokieć. Widok obrzydliwy. Zrobił okład i powiedział, że jeżeli chcemy, aby palec szybko się zagoił, nie należy go bandażować. Mama doszła do siebie i w nagrodę poszłyśmy na duże pyszne lody. Miejsce po paznokciu wyglądało jak ugotowane mięso i nikt nie chciał na to patrzeć. Więc ja zrobiłam z niego straszak. Kiedy tylko coś było nie tak jak chciałam, mówiłam, że pokazę palec.

Babcia Helena Jasińska mieszkała na jednej z bocznic odchodzących od ulicy Chińskiej. Był to nowy murowany, niewysoki (może dwupiętrowy) dom. Jego właściciel Chińczyk też tam mieszkał z rodziną. Babcia zajmowała dwa pokoje, kuchnię, przedpokój (ubikacja była na korytarzu). Głównym powodem mojego tam pobytu był dziadek (ten trzeci), którego bardzo kochałam. Chodziliśmy razem do ZOO karmić małpy i nad brzeg rzeki Sungari, aby popatrzeć na wodę, na chińskie dżonki. Często też siadaliśmy na biało pomalowanych ławeczkach. Ponieważ dziadek dodatkowo pracował jako tłumacz w żandarmerii japońskiej, dostawał kartki żywnościowe. Realizował je w dużym chińskim domu towarowym. Jeden taki był w Harbinie. Przynosił stamtąd różne smakołyki. Najbardziej pamiętam zapach i smak ananasów w puszcze. Po jej otwarciu pachniało w całym mieszkaniu. No i ten delikatny, cudowny smak. Nigdy już potem takich nie jadłam.

W sąsiedztwie mojej babci i dziadka mieszkali właściciele kamienicy. Było to młode chińskie małżeństwo z dwójką dzieci. Chłopczyk miał 3-4 latka, dziewczynka była przy piersi. W domu czystutko. Chinka z niemowlakiem zawsze siedziała na *kianie* (duży piec przykryty matą, systematycznie podgrzewany od dołu). Plotła ze słomy łapcie. Chłopczyk lubił bawić się ze mną i zawsze czekał kiedy przyjdę. Gospodarz po powrocie z pracy brał się do gotowania obiadu (zawsze on gotował). Było dla mnie ogromną frajdą gdy dostawałam łyżkę i miseczkę z ryżem. Jedli pałeczkami, a ja nie umiałam – stąd ta łyżka. Na stoliku było wszystko marynowane: bakłażany, czosnek, kielki sojowe (zupełnie inny kolor niż w Polsce), różne papryczki oraz algi o specyficznym zapachu i smaku. Uwielbiałam chiński makaron „fincioza” z sosem sojowym i z cienko pokrojonym mięsem. Wszystko dosyć ostre. Któregoś razu babcia podpatrzyła, że u sąsiadów podjadam. Od tego czasu zawsze zanosilałam małemu coś słodkiego. Raz Chinka wpadła na pomysł, żeby zrobić mi plecione ze słomy łapcie. Wzięła miarę, no i zrobiła. Wszędzie brałam je ze sobą. Każdy wiedział kto mi je zrobił.

Lubiłam też chodzić z babcią na chiński targ rybny. Odór był straszny. Ryby takie, jakich już nigdy więcej nie zobaczyłam. Suszone, solone, świeże lub nie. Babcia знаła się na nich. Często kupowała białą, tłustawą rybę o nazwie „kita”. Przeważnie ją gotowała. Podawała do niej osobno ugotowane ziemniaki polane skwarkami. Było to pyszne. Z tą rybą spotkałam się jeszcze raz podczas transportu do Polski. Mieli ją skazani więźniowie polityczni (sami młodzi Rosjanie), jadący na Sybir do łagrów. Była solona. Nie dawała się jeść. Dostawali do niej wiadro wody na cały wagon.

W 1945 roku wojska radzieckie wkroczyły do Harbina. Jedną z pierwszych ofiar to mój „trzeci” dziadek. Na wszystkich padł błąd strach. Poszła fama, że będą zabierać pokoje na kwaterę dla oficerów radzieckich. Rodzice szybko pozbyli się jednego pokoju. Niewiele to pomogło. Otrzymaliśmy lokatora w stopniu kapitana, a do domu mojej przyjaciółki Zinki został dokwaterowany major. Kapitan był z Leningradu, wysoki, przystojny. W Leningradzie zostawił żonę i dwóch synków w moim wieku. Pierwszą informacją, jaką o nich otrzymał, było to, że wszyscy nie żyją. Płakał jak dziecko. Po paru tygodniach otrzymał drugą wiadomość, że wszyscy żyją. Jego żona z synami ukryła się gdzieś na wsi u znajomych. Udało im się uciec przed strasznymi rzeczami jakie działy się w Leningradzie podczas wojny. Nawet rozmawiał z żoną przez telefon. Przyszedł bardzo szczęśliwy i z tej radości kupił mi moje ulubione ciastka z cukierni przy hotelu „Modern”. Każde ciastko w osobnej karbowanej bibułce. Smak i zapach czuję do dziś. W ogóle często przynosił moje ulubione smakołyki i owoce. Kaki, które można było kupić świeże, suszone i mrożone w zależności od pory roku.

Winogrona i cukierki w pudełku – irysy – coś pysznego, nigdy już potem takich nie jadłam.

Wieczorami przychodził major od sąsiadów i grali w karty. Był całkiem inny, jakoś dziwnie mówił po rosyjsku. Chyba pochodził z którejś z republik. Małutki, pękaty, krótkie nóżki, jak tylko trochę wypił to śpiewał po swojemu i tańczył podskakując. Mały, ale bardzo hałaśliwy. Jakoś go nie lubiłam. „Nasz” kapitan pomału stawał się prawie członkiem rodziny. Jak nas zapraszali w goście to jego też. Nawet święta katolickie obchodził z nami.

Pamiętam takie zdarzenie. Byłyśmy z mamą same w domu. Raptem do mieszkania weszło trzech żołnierzy z karabinami – lufy skierowane do przodu. Mamę aż zatkało. A oni pytają, czy ma wódkę i rozglądają się po mieszkaniu. Mama naląła im wódkę do kieliszków, a oni w śmiech i chcą do szklanek. Potem kazali mamie spróbować. Jeden się pyta czy w domu są zegarki i przedmioty z brązu. Zegarek dziadka leżał na komodzie. Był to okrągły zwykły zegarek z łańcuszkiem. Miał otwieraną kopertę. Nie przedstawiał materialnej wartości. Podobno dawniej kolejarze otrzymywali takie zegarki. Miał tylko wartość pamiątkową, bo był z Polski. Żołnierz go wziął i pokazał mamie, że ma całą rękę w zegarkach. Tylko tamte były na paskach, a ten nie, bo był kieszonkowy. Kręcił, kręcił – jakoś mu nie pasował. Odłożył na komodę, mama odetchnęła. Jednak wychodząc capnął zegarek i ze śmiechem wyszli z domu. Wódkę oczywiście wypili całą. Jak nasz lokator – kapitan wrócił z pracy, mama mu opowiedziała o tym incydencie. Na drugi dzień zegarek był w domu. Przywieźliśmy go nawet do Polski.

Ojciec też miał często kłopoty z żołnierzami. Po prostu wsiadali do taxi i kazali się wieść, a potem nie płacili. Straszili swoimi karabinami. Był to koniec wojny i do wojska brano nawet ludzi z kryminalną przeszłością, więc zachowywali się różnie. Kobiety w tym czasie same nie mogły wychodzić z domu na ulicę. Któregoś razu idąc z mamą ulicą, trafiłyśmy na żołnierzy radzieckich, którzy wyprowadzali z jakiegoś mieszkania Japonki. Na ulicy stał taboret, na nim miska z wodą i każda Japonka musiała zanurzyć swoją piękną fryzurę w misce. Podobno chodziło o to, aby nie chowały we włosach biżuterii. Kazano im jeszcze wywinąć długie rękawy kimon. Później musiały wejść do ciężarówki. Żołnierze wynosili spakowane walizki i układali na kupkę na chodniku. Biedne myślały, że chociaż cokolwiek dadzą im zabrać. Niestety. Żołnierze zabrali walizki dla siebie. Mama zdenerwowała się tym widokiem, złapała mnie mocniej za rękę i powiedziała, żebym się nie oglądała. I tak ten widok zapamiętałam.

Ciotki często brały mnie do kina. Na dole, pod ekranem, grała orkiestra. Przed filmem zawsze wyświetlali jakby kronikę filmową. Tego dnia pokazali zdjęcia z Hiroszimy lub Nagasaki (tego nie pamiętam) po wybuchu bomby atomowej. Widok był tak straszny, że wszyscy zaczęli krzyżeć. Orkiestra przestała grać. Ludzie zerwali się z krzeseł. Na ekranie kikuty domów i wszystko jakby zlepione stopioną masą. Nawet nie potrafię tego opisać. Raptem na ekranie pokazał się krwawy kadłub jakiejś kobiety. Bez rąk i nóg. Coś przeraźliwie krzyczała. Siwe włosy stały dęba. Zaczęłam całą się trząść i ciotka wyprowadziła mnie z kina. Już więcej nie nalegałam, aby tam chodzić. Mama mówiła, że potem już nie pokazywali tych strasznych zdjęć.

Wśród znajomych moich rodziców było starsze małżeństwo – uciekinierzy ze Związku Radzieckiego. Należeli do tzw. białej arystokracji i kiedyś byli bardzo zaможnymi ludźmi. W mieszkaniu piękne obrazy, bogate ikony, na stole samowar i zawsze konfitury. Obrus koronkowy, dokładnie pamiętam, bo zawsze bałam się, aby go

nie pobrudzić. On wykladał na jakiejś uczelni i śpiewał w chórze cerkiewnym. Był to malutki, szczuplutki mężczyzna z długimi wąsami. Wąsy po rosyjsku to usy. Więc nazwałam go „dziadzia us”. Ona też malutka, zadbana, ubrana jak z innej epoki, zawsze jakieś kołnierzyki z koronki – ciocia Szura (Aleksandra). Mieli przybranego syna, w tym czasie już dorosłego, Wiktora. Wiktor zakochał się w Japoneczce, z którą się ożenił. Podczas nieobecności męża (stale albo śpiewał, albo miał próby) ciocia Szura organizowała babskie spotkania przy samowarze, w czasie których grało się w karty na drobne pieniądze. Każdy przynosił coś smacznego do herbaty, albo ciocia Szura podawała przepyszne drożdżowe pierożki nadziewane kapustą lub podrobami, smażone na oleju jak pączki. Pewnego razu podczas takiego spotkania sąsiadka dała umowny znak, że idą sowieccy żołnierze. Panika, wszyscy chowają karty i pieniądze. Samowar też, bo to był burżuazyjny eksponat. Wcześniej pochowano wszystkie ikony i obrazy. Na stole herbata w szklankach. Łomot w drzwi i wchodzi trzech żołnierzy. Lufy karabinów do przodu. W tym momencie ciocia Szura wychodzi z kuchni z pełną miską pierożków. Potknęła się o próg i leży, a pierogi pod nogami żołnierzy. Oczywiście rzucili się na te ciepłe pierożki i każdy bierze ile może. Ona szybko podaje im papier i mówi: No to chłopcy bierzcie ile chcecie. Jak sobie podjedli, zapytali co to za zebranie. Ciocia Szura odpowiedziała, że zaprosiła koleżanki na herbatkę i pierożki. Popatrzeli na każdą i bez słowa wyszli. Nie mogliśmy uwierzyć, nawet nie zapytali o zegarki.

To starsze małżeństwo przeżyło tragedię w Harbinie. Tu zmarł ich adoptowany syn. Pochowany został na cmentarzu prawosławnym. Zostawił wdowę – Japonkę.

Jak weszło wojsko radzieckie, Japończycy musieli opuścić Harbin – byli wywożeni. Dużo oficerów popełniało harakiri – straszna śmierć. Oficer japoński nie mógł poddać się i pójść do niewoli, gdyż na to nie pozwalał mu honor. Wybierał okropną, powolną śmierć. Wnętrznosci po prostu pomału wypływają z brzucha.

Żona Wiktora też była zagrożona. Znajomi zorganizowali jej pomoc. Polegała ona na tym, że każdy kto mógł i miał odwagę ukrywał ją u siebie przez kilka dni i nocy. Na szczęście nasz lokator w tym czasie był już na innej kwaterze. Ojciec zapowiedział, że będziemy teraz mieć innego gościa. Jeśli ktokolwiek obcy dowie się o tym, że u nas mieszka Japonka, to możemy wszyscy zginąć. Nocą zaczął zwozić jakieś kafelki, pierzyny, koce. Potem wyłożył piwnicę kafelkami, postawił nawet maleńki stolik, obłożył kocami. No i w nocy przywiózł żonę Wiktora. Cały dzień ukrywała się w piwnicy, jak było ciemno wychodziła, myła się i czesała swoje piękne, długie włosy. Była bardzo nieśmiała i wystraszona. Raz ubłagałam rodziców, abym mogła na nią popatrzeć późnym wieczorem jak wyjdzie z kryjówki. Dobrze mówiła po rosyjsku. Powiedziała, że nigdy nie zapomni co moi rodzice zrobili dla niej i że są bardzo odważni. Wszyscy czekaliśmy na moment, kiedy można będzie ją wywieźć za granicę. Wreszcie taki moment nadszedł i ojciec wywiózł ją w nocy swoim samochodem. Przy pożegnaniu wszyscy płakaliśmy. Potem w napięciu czekaliśmy na informację, czy dotarła tam, gdzie miała pojechać. Wszystko dobrze się skończyło. Poczuliśmy ulgę. Nie wiem do jakiego kraju dotarła.

Wszystkie święta obchodziliśmy podwójnie. Nasza rodzina katolickie, a znajomi – prawosławne. Choinka była zawsze. Prezenty też. W drugi dzień świąt zawsze uroczysty obiad. Dużo gości. Ojciec przywoził też księdza Pawła, z którym przyjaźnił się. Na święta prawosławne myśmy szli w gości. Smaku paschy i wysokiej babki – kuli-cza nie zapomnę nigdy.

Znajomi zapraszali nas na ostatki, po prawosławnemu „maślenica”, do restauracji po drugiej stronie Sungari. Zimą rzeka tak zamarzała, że można było spokojnie jechać saniami. Raz rodzice wzięli mnie ze sobą. Powiedzieli, że może nigdy takiej frajdy nie przeżyję. Jechało kilka sań. Chińczyk stał z tyłu i popychał sanie ostro zakończonym kijem. My owinięci błamami futrzanymi. Było wesoło, niektórzy nawet śpiewali. W restauracji czekał na nas gorący samowar i cała sterta nasmażonych blinów. Na blin kładło się czerwony kawior lub plasterki wędzonego łososia. Zawijało się w rulonik i polewało smugą gęstej śmietany. Było to przepyszne. Rzeczywiście nigdy więcej nie jadłam czegoś takiego.

Prawosławne święto Jordan też wiązało się w pewien sposób z rzeką Sungari. W zamarzniętej rzece był wyrąbany olbrzymi krzyż. Pop odświętnie ubrany, z długą brodą, której bałam się jak ognia, poświęcił tę wodę w przerębli. Robił znak krzyżem i potem krzyż dawał do całowania. Podjeżdżały dorożki i samochody. Kobiety były już ubrane w kostiumy kąpielowe. Wystarczyło zrzucić futro i wskoczyć do przerębli w formie krzyża. Po krótkiej kąpeli wycierały się szybko ręcznikami i z powrotem w futro. Mężczyźni również pływali w przerębli. Mróz oczywiście co najmniej 30° C. Potem wszyscy do samochodów lub dorożek. Okrywali się futrzanymi błamami i rozjeżdżali się.

Obok nas mieszkała rosyjska rodzina z córką Zinaidą (Zinką). Mama Zinki była Rosjanką, a tata Rosjaninem żydowskiego pochodzenia. Był muzykiem i grał w jakiejś orkiestrze. Mieli piękne nazwisko Dunajewscy. Jak byłam mała (Zinka też), to koniecznie chciała odgryźć mi nos. Bardzo jej się nie podobał. Podobno ani na chwilę nie rezygnowała z ataku na niego. Byłam przez to bardzo pilnowana. Jak podrosła to dała spokój mojemu nosowi, za to przegryzła nos mojej dużej lalce z celuloиду. Przez kilka lat razem rosłyśmy. Ja byłam niejadkiem, ona też. Wszystkie zakaźne choroby przeszłyśmy razem. Nasze wspólne zabawy były takie: gdy Zinka przychodziła do nas, bawiła się wszystkimi moimi zabawkami, jak ja szłam do niej – nie wolno mi było nic ruszyć. Mama jej nakazywała, aby mi dała chociaż przetrzymać jakąś lalkę. To dała, ale za moment wyrwała. Mogłam sobie tylko popatrzeć. To jeszcze nie było najgorsze. Zinka uczyła się gry na skrzypcach. Ćwiczyła przed obiadem i po obiedzie. Było to okropne rzępolenie. Z biegiem czasu Zinka grała coraz lepiej. Nie dla mnie. Ja nie mam absolutnego słuchu. Rozstałyśmy się w chwili, gdy oni przeprowadzili się do Nowego Miasta w Harbinie, a my do Aszyche.

Trzy lata przed wyjazdem do Polski zamieszkaliśmy w Aszyche. Był to jeden w szeregu stojących służbowych domków cukrowni, należący do starszego małżeństwa Polaków. Nazywali się Piaseccy. Nie pamiętam nazwy ulicy. Z tyłu domu był spory ogród z drzewami owocowymi. Wchodziło się po schodkach (wysoki parter). Dom był umeblowany. Weranda, cała oszklona, meble z rattanu, stół, dwa fotele i komódka. Potem kuchnia, łazienka i ubikacja. Nad łazienką nisza z rozsuwanymi drzwiami. Chciałam tam od razu spać. Okazało się, że mam swój pokój z oknem na ogród. Razem trzy pokoje z kuchnią.

Aszyche miało swój zapach. Dużo zieleni i rzeka – też nazywała się Aszyche. Większość mieszkańców to Chińczycy. Do rzeki mieliśmy blisko. Latem chodziłam z ojcem codziennie rano kąpać się.

Raz zobaczyłam Chinę siedzącą nad samą wodą. Ona nas nie zauważyła. Ojciec pokazał na migi abym była cicho i popatrzyła na jej stopy. Stópki miała maleńkie jak u dziecka. Jeden palec większy, a reszta jakby w zaniku. Po cichu wycofaliśmy się, aby jej nie speszyć. Nieładnie by było, że podglądamy.

Bandażowanie Chinkom stóp to pozostałość z dawnych lat. W moich czasach jeszcze sporo kobiet miało małe stópki. W sklepach sprzedawali specjalnie dla nich ślicznie haftowane, jedwabne pantofelki. Przy dużym wietrze Chinki musiały trzymać się plotu, aby się nie przewrócić. Na temat tych małych stóp krążyły różne legendy. Ja zapamiętałam taką:

Był książe, który poślubił piękną dziewczynę. Żona po jakimś czasie zakochała się w innym i uciekła z kochankiem. Mocno rozgniewany książe nakazał wszystkim rodzicom, którym urodzi się córka, bandażować jej stopy, aby nie mogła uciec.

Któregoś razu do mojego ojca przyjechał samochodem pewien Rosjanin i w pokoju o czymś rozmawiali. Potem mama przeprowadziła ze mną poważną rozmowę. Ten pan prosił moich rodziców, aby mógł przyjeżdżać po mnie kilka razy w tygodniu i zabierać do swojej córki. Jego córeczka Tamara była bardzo poparzona. Lewa strona wyglądała koszmarnie. Głowa bez włosów, połowa twarzy bez skóry, widać nawet zęby. Na lewej ręce i nodze skóra ściągnięta lub jej brak i gołe kości. Lekarze kazali zdjąć bandaże, ale nikt nie chciał się z nią bawić. Wszyscy się bali. Mama długo tłumaczyła, że jeśli ten widok wytrzymam, to może bym mogła się z nią bawić. Powiedziała, że mam o nic nie pytać, być grzeczna i we wszystkim ustępować. I tak jest przez los mocno pokrzywdzona. Uduwać, że wszystko jest normalnie.

Kiedy przyszedłam pierwszy raz Tamarka (młodsza ode mnie o dwa lata) była cała w bandażach. Mała, drobna i uśmiechnięta, wręcz pogodna dziewczynka. Odtąd często gościłam w tej rodzinie, aż do jej wyjazdu do Australii. Był to bogaty dom. Duży ogród, sad i ule. Objadałam się miodem (znowu nie chciałam jeść w domu). Rodzice Tamarki bardzo mi dogadzali. Twierdzili, że przy mnie ich córka nawet zaczęła jeść. Ojciec Tamarki woził mnie swoim Fordem. Byłam bardzo dumna, bo mój ojciec rzadko nas woził, gdyż musiał zarabiać. Tak się oswoiłam z wyglądem mojej koleżanki, że nawet któregoś razu dotknęłam jej poparzonej dłoni. Przed wyjazdem do Australii jej rodzice zrobili wielkie pożegnalne przyjęcie. Zaprosili wszystkich swoich znajomych, moich rodziców i mnie. Pamiętam smak rurek z kremem (nigdy takich nie jadłam). Było mnóstwo smakołyków. Dopiero teraz dowiedziałam się, co się stało, że Tamarka była tak poparzona. Otóż ich poprzedni dom się spalił. Podczas pożaru okazało się, że nikt nie może znaleźć kotka Tamarki. Rodzice widząc córkę całą i zdrową zajęli się gaszeniem, a ona pobiegła ratować zwierzątko. Wynieśli potem Tamarę z kotkiem, któremu zupełnie nic się nie stało. Rodzice nigdy nie darowali sobie tego, że nie dopilnowali dziecka. Kiedy to opowiadali, strasznie płakali. Mówili, że w Australii przejdzie specjalną operację, po której będzie dobrze wyglądać. Mam nadzieję, że tak było.

Dzieciaki chińskie zjadały się trzcina cukrową. Właściwie nie jadło się jej, a ssało. Nie chciałam być gorsza i robiłam to samo. Mama powtarzała wciąż: nie będziesz mieć zębów, bo niszczy szkliwo. Zęby rzeczywiście szybko mi się psuły. Prawdopodobnie sprawa klimatu i wyżywienia.

Na naszej ulicy często pojawiał się sprzedawca naleśników. Był to starszy Chińczyk. Stawiał piecyk z takim czarnym kołem. Smarował je tłuszczem i lał cieniutko ciasto. Gotowe naleśniki przyprawiał na ostro lub na słodko. Zawijał je w rulonik, zginał w pół i podawał w papierku. Ludzie to kupowali, a ja ciągle stałam i gapiłam się. Raz Chińczyk nie wytrzymał tych moich wytrzeszczonych oczu i dał mi naleśnik. Nie wiedziałam co mam zrobić. Przecież nie miałam pieniędzy i nie wolno mi było nic od nikogo brać. Pokusa jednak zwyciężyła. Potem w napięciu czekałam, co będzie dalej, jak zareaguje mój żołądek. Nic się jednak nie stało, prócz tego, że miałam wy-

rzuty sumienia. Byłam mu dłużna pieniądze. Przypomniałam sobie, że kiedyś widziałam, jak dzieciaki noszą butelki do sklepiku. Zawsze coś za to dostawały. Po cichu, aby mama nie widziała, zebrałam kilka butelek i pobiegłam do znajomego kupca. Chińczyk otworzył duży słój z moimi ulubionymi cukierkami, ale wytłumaczyłam mu, że za butelki chcę pieniądze. Był trochę zdziwiony, jednak dał mi je. Szybko pobiegłam do sprzedawcy naleśników i zwróciłam mu dług. A on zrobił świeży naleśnik i dał mi go. Zaczęłam mu tłumaczyć o co chodzi, jednak nie rozumiał. Pokazał, że mam zjeść naleśnik więc go zjadłam. Byłam bardzo chuda, może myślał, że jestem zagłodzona. Ojciec nieraz dawał mi drobne na cukierki, więc jak dostałam pieniądze, znowu pobiegłam do Chińczyka z długiem. I ponownie otrzymałam naleśnik. Nie mogliśmy się zrozumieć. W końcu sprzedawca przeniósł się z naszej ulicy, a ja mu „wiszę” za naleśnik do dziś.

W Aszyche miałam koleżankę Czan – była córką Rosjanki i Chińczyka. Dobrze znała język rosyjski i wpisała mi się nawet do pamiętnika (mam go jeszcze).

Czan miała młodszego brata, ale zmarł na tyfus. Jej mama była ruda i plotła włosy w długie, grube warkocz. Miała bardzo ładną, delikatną twarz. W domu rozmawiali po rosyjsku i po chińsku. Kuchnię prowadzili europejską. Mama Czan robiła pyszny pieróg. Jest to drożdżowe ciasto, faszerowane różnymi dodatkami, podrobami lub kapustą, rybą, a nawet uduszoną marchewką. Piecze się go na dość dużej blasze, a potem kroi na spore kawałki.

Jak tylko ojciec Czan wracał z pracy, szybko zbierałam swoje szmatki, lalki i szłam do domu. Raz nawet mnie zapytał po rosyjsku, czy się go boję, że tak szybko uciekam. Jakoś mnie peszył, ale na pewno się go nie bałam. Za to mama Czan szyla moim lalkom różne stroje. Była bardzo sympatyczna. Długo to nie trwało, bo też wkrótce gdzieś wyjechali.

Podczas epidemii tyfusu nie wolno było kąpać się w rzece, ani jeść owoców, a my z mamą uwielbiałyśmy melony, które były słodkie i pachnące. Chińczycy mieli takie gatunki, że zapach roznosił się po całym mieszkaniu, a w ustach rozplywały się. Mama kupowała nadmanganian potasu, rozpuszczała go w wodzie i tym roztworem myła owoce i nóż. Z zachowaniem higieny w ogóle było ciężko. Szczególnie latem wszystko należało oblewać wrzątkiem, prasować po prawej i lewej stronie. Zawsze w domu mieliśmy bryły lodu, którymi obkładało się żywność. Latem za to bardzo często jadło się lody, gdyż mieliśmy maszynkę do ich robienia. Mama dodawała do nich laskę wanilii. Chińczycy robili wspaniałe smaki i różne kolory.

Niedaleko naszego domu mieszkała chińska rodzina ze starszym dziadkiem. Miał on długi warkocz, co należało już do rzadkości. Kiedyś stanowił on symbol poddaństwa władzy mandżurskiej. Jak było gorąco dziadek siadał przed domem i wachlował się dużym wachlarzem. Ojciec witał się z nim i chwilę rozmawiał. Robił to zawsze z wielkim szacunkiem. Zgodnie z chińskim zwyczajem w ogóle szanowano tam starych ludzi.

Powinłam już iść do szkoły. Oczywiście polskiej. Nawet słyszeć o tym nie chciałam. No i wyłgałam się. Do pierwszej klasy w ogóle nie poszłam. Tak się rozchorowałam, że jesień i zimę przeleżałam w łóżku. Dostałam bardzo ostrego zapalenia stawów. Całe życie mam z tym problem. Myślę, że nie zostałam do końca wyleczona.

Szkoła podstawowa mieściła się w tym samym budynku co gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Ze względu na wiek poszłam od razu do drugiej klasy, nie znając ani jednego słowa po polsku. Umiałam tylko na pamięć jeden pacierz. Ksiądz Aleksander, który nas uczył religii zawsze miał ze mną problemy. Któregoś razu zapytał

mnie o czym mówiliśmy na poprzedniej lekcji. Dzieci, że o bombie. No to ja cała radosna powtarzam za nimi. Ksiądz aż się zrobił czerwony, gdyż mówił wówczas o Bogu. Rosyjskie i polskie brzmienie tego wyrazu jest podobne, ale ja sobie pomyślałam, że bardziej się różni i ze strachu powtórzyłam po dzieciach. Musiałam wyjść z klasy i klęczeć na korytarzu. Zapamiętałam, że jak dzieci podpowiadają, lepiej nie powtarzać. Korytarzem szedł dyrektor szkoły i zobaczył mnie na kolanach, całą zapłakaną. Po cichu kazał mi wstać i zabrał do siebie do gabinetu. Jak się uspokoiłam, dał mi polską książkę do czytania na głos. Zaczęłam dukać. Pod koniec lekcji grzecznie uklęknęłam. Może to nie było zbyt pedagogiczne, ale tak płakałam, że dyrektor nie miał sumienia zostawić mnie na tych kolanach.

Raz brałam udział w przedstawieniu szopki Bożego Narodzenia. Byłam aniołkiem. Nie mogłam nauczyć się kolęd, po pierwsze dlatego, że nie miałam absolutnie sluchu, a dwa – nie znałam słów. Po prostu ruszałam ustami. Odtąd nigdy w życiu nie zaśpiewałam ani jednej piosenki. Najważniejsze w tym czasie było, że miałam długą, białą sukienkę i przypięte skrzydła.

Przygotowania do I Komunii Św. też były niezłą męką. Kułam, a mama stale odpytywała. Bardzo tego się wstydziłam, że nie umiem mówić po polsku. W tym czasie dużo pomagał mi ksiądz Paweł Chodniewicz. Był częstym gościem w naszym domu. Miał do mnie ogromną cierpliwość. Mówił do mnie tylko po polsku, ale bardzo powoli. Kazał mi po sobie powtarzać. Najgorzej bałam się spowiedzi. Ale spotkało mnie szczęście. Myślałam, że spowiadać będzie tylko ksiądz Aleksander, ale okazało się, że ksiądz Paweł też. Pobiegałam od razu do tego drugiego. Przedtem ksiądz Aleksander poprosił wszystkie mamy, których córki będą przystępować do I Komunii Św. (było nas tylko kilka) i otworzył kufer. Dał mamie białą, bawełnianą sukienkę obszytą zwykłą koronką, którą musiała doprowadzić do porządku.

Wreszcie nadszedł ten uroczysty dzień. Okazało się, że razem z nami przystępują do I Komunii Św. chińskie dziewczynki, tak samo ubrane jak my. Wyglądały ślicznie z czarnymi, długimi, rozpuszczonymi włosami i welonem na głowie. Byłam tak zdumiona, że nie mogłam oderwać wzroku, no i nic z tego nie rozumiałam, przecież nie chodziły ze mną na religię. Po uroczystościach, wszystkie dzieci, chińskie również, zostały zaproszone na wspólne śniadanie. Nasze mamy wszystko przygotowały. Popiekle różne ciasta i było gorące kakao. Jako pamiątkę I Komunii Św. dostałam mały obrazek przedstawiający św. Teresę. Po śniadaniu ojciec zabrał nas samochodem do hotelu „Modern” na wspaniałe, pachnące ciasteczka z kremem. Każde ciastko było w karbowanej bibułce, w tym kolorze co krem. Zapach słodko landrynkowy. No i te wspaniałe duże lody. Nie otrzymałam od nikogo prezentów, nie było przyjęcia ani pięknej sukni, ale i tak ten dzień wspominam bardzo ciepło. Mama w domu wytłumaczyła, dlaczego były z nami Chincezki. Mieszkamy w kraju, gdzie są misje chrześcijańskie (między innymi katolickie) i ich zadaniem było nawracanie na naszą religię.

Jakoś udało mi się zdać do III klasy. Otrzymałam nawet cenzurkę i podręczniki. Szkoła jednak została zamknięta. Z podręczników posiadam do dziś tylko „Historię Polski” autorstwa J. Duszyńskiej i T. Witwickiego, wydaną we Lwowie w 1931 roku. Resztę książek „pożyczyli” znajomi. Nawet cenzurka zginęła. Też była komuś potrzebna.

Rodzice nie chcieli mnie posłać do szkoły sowieckiej i poprosili o pomoc w nauce, jeśli dobrze pamiętam, jedną z córek woźnego szkoły – Marcelinę. Była to młodziutka, wesółka panienka dobrze mówiąca po polsku. Ponieważ niewygodnie było codziennie jeździć do Aszyche, zamieszkała przez jakiś czas u nas. Rozmawiała ze mną

tylko po polsku, tzn. ona mówiła po polsku, a ja odpowiadałam po rosyjsku. Byłam wyjątkowo uparta, nawet nie chciałam przeczytać cokolwiek na głos. Po prostu lepiej łąpałam chińskie słówka niż polskie. Po dwóch miesiącach Marcelina zrezygnowała z dalszej edukacji mojej osoby. Na podwórku wzbudzałam zainteresowanie innych dzieci, bo nie chodziłam do szkoły.

Pomału zbliżał się okres rozstań. Pierwszy wyjechał z Harbina przyjaciel ojca z dopiero co poślubioną piękną żoną. Byli Rosjanami. Wyjechali do Australii. Bajkowa para. On Borys Małyszow, ona Tania.

Moja mama, będąc w „Gospodzie” zapisała się na transport z Chin do Polski. Tego samego dnia zrobili wspólne zdjęcie z księdzem i obecnymi tam osobami. Zdjęcie to znalazłam w książce p. Marka Cabanowskiego pt. *Tajemnice Mandżurii. Polacy w Harbinie* na str. 89. Mieliśmy takie samo w domu, więc dobrze pamiętam przy jakiej okazji zostało zrobione. Ostatnie nasze spotkanie z księdzem Pawłem odbyło się przy mogiłach babci Heleny, dziadka Michała, wujka Piotra Graczyków. Ksiądz odprawił mszę pożegnalną. Więcej już go nie zobaczyliśmy. Pamiętam takie zdarzenie: Wracamy z cmentarza, ksiądz trzyma mnie za rękę i powiada: „W Polsce wszyscy mówią po polsku to i ty się nauczysz”.

We wspomnianej książce przeczytałam, że nagle zmarł. Ja pamiętam trochę inną wersję. Być może była to tylko plotka. Po jego śmierci w domu zapanowała żaloba. Nikt nie mógł się z tym pogodzić.

Mama Zinki na wiadomość o tym, że wyjeżdżamy do Polski, wzięła mnie na cały tydzień, abyśmy nacieszyły się sobą. Mieszkali w centrum Harbina. Zajmowali dwa nieduże pokoje z kuchnią, ale za to mieli wszystkie wygody. Zinka była już w tym czasie poważną prymuską w szkole sowieckiej. Doskonale grała też na skrzypcach. Miała talent muzyczny po swoim ojcu. Mama Zinki codziennie układała plan, co będziemy robić. Zrobiła nam wielką frajdę. Byliśmy w ZOO nakarmić małpy, na bazarze po różne przysmaki i owoce. Chodziłyśmy na przystań posiedzieć na ławeczkach i popływać na pływające po Sungari łódki i prom. W domu Zinka pokazywała różne gry, w które bawiła się w swojej szkole. Mama Zinki dogadzała nam na różne sposoby. Byliśmy kilka razy w kawiarni przy hotelu „Modern” na lodach. Robiła wszystko, abym zapamiętała ostatnie chwile z Zinką i jej rodziną. Zostałam obdarowana prezentami i zrobiliśmy nawet wspólne zdjęcie.

Nadszedł czas rozstania. Płacz był przy pożegnaniu straszny. Wiedziałyśmy, że żegnamy się na zawsze. Faktycznie, więcej się nie zobaczyłyśmy. Myślę, że wyrosła z niej mądra kobieta i utalentowana skrzypaczka – obojętnie gdzie by nie mieszkała. Mama postanowiła pożegnać się ze swoim biologicznym ojcem – Janem Jasińskim. Wzięła mnie ze sobą. Mieszkał wówczas z bogatą Rosjanką, właścicielką kilku kamienic. Pani ta była wyjątkowo brzydka. Mama potem śmiała się, że Bozia pokarała go za jego słabość do pięknych kobiet. Za to dziadek Jan był elegancki i przystojny. Przypominał jednego ze znanych p. Jasińskich (nie napiszę którego, bo jeszcze się obrazi). Nawet włosy tak czesał, jak kiedyś ten ktoś. Przepytał mnie co lubię, jakie słodycze. Poszliśmy razem do pobliskiego sklepiku i co było możliwe to mi kupił. Umówiliśmy się, że na większe zakupy pójdziemy do Nowego Miasta do dużego magazynu firmy „Czurin”. Nie mogłam doczekać się tego dnia. Dziadek przyszedł pachnący i czarujący. Poszliśmy do „Czurina”. Tam mi nakupował różnych sukienek, butów, a nawet kilka płaszczyków na różne pory roku. Wszystko nam ukradli jak przyjechaliśmy już do kraju. Opowiadał mi jak to będzie w Polsce, że nie ma takich ostrych zim i na pewno szybko nauczę się mówić po polsku. Potem byliśmy w restauracji na obiedzie,

no i oczywiście na lodach. Wreszcie z dużymi zakupami pojechaliśmy do domu. Tu pożegnanie i płacz. Nie wiem dokąd wyjechał z Harbina i gdzie zmarł.

Zrobiło się niebezpiecznie. Dzieci stały się agresywne. Przesuwały palcami po swojej twarzy, pokazując mi, że mam inną cerę. Mówiły, że jestem białym człowiekiem i coś przy tym brzydkiego. Nawet raz zdarzyło się, że chłopak chiński śmignął mnie batem. Mama była przy tym. Pobieгла za nim i chciała go wytargać za uszy, ale uciekł. Dostałam po twarzy i lewym ramieniu. Pręga była granatowo-czerwona i wyglądała brzydko. Mama w domu robiła mi okłady i płakała razem ze mną. Wszyscy, którzy mnie w tym czasie widzieli byli przerażeni i bardzo mi współczuli.

Już nie mieliśmy sklepiku kupca chińskiego. Został zamknięty. Nadszedł okres komuny i chorego systemu.

Do Australii wyjechał następny przyjaciel ojca, Niemiec Fredek (Alfred). Też należał do koła łowieckiego. Pamiętam, że był bardzo wysoki, wyższy od mojego ojca i całkiem rudy. Mówił po rosyjsku z twardym akcentem. Jego żona była piękna i miła, pochodziła z greckiej rodziny.

W domu mieli całą zastawę z japońskiej porcelany. Czasami na niej podawała różne smakołyki. Wszystko miniaturowe. Moja mama śmiała się, że nasi panowie komicznie wyglądają przy tej miniaturowej zastawie.

Wyjechała też koleżanka mamy Julia.

Z Polski przyjechali panowie siejąc propagandę, że są tam same ruiny i nie ma potrzeby brać eleganckich rzeczy. Wszyscy chodzą w waciakach i odgruzowują kraj. Moi rodzice nigdy nie byli bogaci. Porozdawali lepsze rzeczy. Może i dobrze, bo i tak żołnierze sowieccy zabraliby na granicy.

Kazali się pakować. Wyznaczyli datę. No i czekaliśmy na spakowanych skrzyniach. Okazało się, że z transportem jest coś nie tak. Rodzice pozbyli się pieniędzy. Dobrze, że właściciele mieszkania nas nie wyrzucili. Znajomi przychodzili i dokarmiali. Koszmar. Nie pamiętam, czy to trwało miesiąc czy dwa. Wreszcie jedziemy. Zabiera nas odkryta ciężarówka. Siedzę obok mamy na skrzyniach. Wszyscy po drodze nam machają. Mama mówi: Lucka obejrzyj się, Ty może tu kiedyś przyjedziesz.

Żegnamy zielone, pachnące Aszyche. Na dworcu już stoją eleganckie, chińskie wagony sypialne. Zaklepałam górne spanie, bo bardzo podobały mi się metalowe, niklowane schodki, po których się wchodziło. No i znowu stoimy. Znowu coś nie dograli. Bez przerwy ktoś przychodzi na dworzec, coś przynosi. Przeżywamy na nowo koszmar pożegnań. Wszyscy już prawie spuchli od płaczu. Niektórzy mdleją. Czekamy tak dwa lub trzy dni. Chińczycy przyglądają się z boku. Pewnie się dziwią, ile czasu może stać pociąg na peronie.

Raz zobaczyłam Chińczyka z koszem pełnym różnych rzeczy. Kosz był zawieszony na szyi, na skórzanym pasie, opierał się o brzuch. Coś tam krzyczał, ale hałas był taki, że nikt nawet siebie nie słyszał. Ale uczciwy Chińczyk ma załatwić swoją „misię” więc biega tam i z powrotem. W końcu zobaczył go mój ojciec i pyta, kogo szuka – oczywiście po chińsku. A on, że Luckę Graczyk, no to ojciec go przyprowadził do mnie. Okazało się, że dziadek Jasiński dowiedział się, że sterczymy na dworcu, więc przysłał mi owoce i słodycze. Byłam bardzo szczęśliwa. Jednak tylko na chwilę. Kiedy zobaczyłam chrestnego z żoną, to już niczym się nie cieszyłam. Ona biedna ledwo trzymała się na nogach. Płakała cały czas. Krótko mówiąc pożegnanie bez nadziei na zobaczenie się jeszcze w tym życiu.

Wreszcie pociąg ruszył. Opuszczamy Harbin na zawsze. Niektórzy, między innymi moi rodzice, zostawili tu kawał swojego życia. Już nigdy i nic nie będzie takie samo.

Na granicy chińsko-radzieckiej opuszczamy wygodne wagony chińskie i przenosimy się do towarowych, zafundowanych przez naszych radzieckich przyjaciół. Żołnierze radzieccy przetrzepali wszystkie rzeczy. Kazali otworzyć bagaże. Szukali szczególnie złota. Jak nie znaleźli, byli niezadowoleni i to bardzo. Darli chińskie papierowe pieniądze (pamiętam dość duże banknoty). Wyrwali zdjęcia z albumu i rzucali sobie pod nogi. Nawet dokumenty darli. Zabierali kupony materiałów (mama dostała w prezencie prawdziwy jedwab). Mieliśmy wagę z porcelany mugdeńskiej – żołnierz podniósł ją do góry i puścił. Rozprysła się w drobny mak. Miałam dwie srebrne rozsuwane bransoletki z wygrawerowanym moim imieniem – prezent od chrzestnego. Też zabrali.

Podróż była niepowtarzalna. Wzięliśmy ze sobą kabanosy, czerwone główki żółtego sera, twardą czekoladę oraz inny prowiant, który nadawał się na długą drogę. Mieliśmy też prymus, więc na postoju rodzice zawsze robili coś gorącego. Dostawaliśmy czarny wojskowy chleb, a gdy była stacja – gorącą zupę. Nieraz budzili w nocy i kazali po nią iść.

Jechaliśmy pod ochroną uzbrojonych żołnierzy sowieckich. Na postojach, szczególnie na terenie Syberii podchodziły starsze, bardzo zabiedzone kobiety trzymając słoiczek lub zawinięte w szmatkę jagody. Pyszne, duże, czarne syberyjskie jagody. Kobiety błagały, aby im dać choć trochę cukru. Niektóre nie jadły go od lat. Nie chciały za darmo. Były bardzo zażenowane, gdy dzieliliśmy się z nimi tym co mogliśmy. W tym czasie ojciec z innymi zagadywali żołnierzy, częstowali ich papierosami. Na widok tych kobiet niektórzy płakali.

Pewnego dnia mijaliśmy pociąg wiozący młodych skazańców na Syberię do łagrow. Wszyscy mieli ogolone głowy. Krzyczeli, że są więźniami politycznymi.

W pewnym momencie nasze pociągi stanęły naprzeciw siebie. Więźniowie powiedzieli nam, co im dają jeść – soloną rybę „kite” i do tego jedno wiadro wody na cały wagon. Nasi zorganizowali od razu pomoc. Ojciec zrobił dziurę w podłodze wagonu i przewłókł sznur do ich pociągu (więźniowie również wybili otwór w podłodze). W ten sposób przemycili do nich czekoladę, papierosy, kabanosy. Inni cały czas zagadywali wartowników. Zresztą wartownicy też nie mieli z nami źle i prawdopodobnie tylko udawali, że nic nie widzą.

Umarła starsza kobieta – nie doczekała się Polski. Ktoś nawet uciekł z transportu i wybrał Związek Radziecki. Pewnie nie mógł wytrzymać tej podróży. Na jakiejś dużej stacji zafundowano nam nawet elegancki obiad w restauracji dworcowej. Zdaje się, że staliśmy tam przez dwa lub trzy dni. W końcu dotarliśmy do polskiej granicy. I znowu płacz. Ale to już inna historia.

Szkoda, że oglądanie się za siebie w Aszyche nie pomogło.

* * *

P.S.

Liczę, że moje wspomnienia przybliżą czytelnikom mało znany świat dawnej Mandżurii, w którym można było w wielkiej przyjaźni, a nawet miłości żyć z różnymi nacjami. Moi rodzice na pewno z sentymentem powracali do tamtych dni.

Wspomnienia te nazwałam „Moje Chiny”, gdyż ukazują obraz mojego dzieciństwa, i niech tak zostanie.

Jeśli coś pokręciłam, to przepraszam, szczególnie Harbińczyków.

WOJEWODA WARSZAWSKI

DNIA 13 stycznia 1923 r.

Nr. AA. I-1-G/9

A K T N A D A N I A O B Y W A T E L S T W A .

Na zasadzie art. 12 Ustawy z dnia 20 stycznia 1920r./Dz.U. R.P.Nr.7 poz.44/ i art.8 Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 7 czerwca 1920r./Dz.U.R.P.Nr.52 poz.320/ w brzmieniu ustalonym w § 1 Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dn. 29.VIII.1926r./Dz.U.R.P.Nr.93 poz.545/ n a d a j ę
p. APOLINAREMU G R A C Z Y K O W I, urodzonemu w Grzymałach, pow.Łomżyńskiego, Woj.Białostockiego, dnia 4 lutego 1907 roku, synowi Michała i Heleny z Wierzbowskich, o b y w a t e l s t w o P a ń s t w a P o l s k i e g o.

Za dzień nabycia obywatelstwa uważa się dzień wymieniony powyżej w dacie.

Zapisano we właściwym rejestrze pod L.b. 1387.

Od opłaty stampowej zwalnia się.



S. T W A R D O . /
WOJEWODA.

Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie

Wzór Nr 9

ZAŚWIADCZENIE.

Graczyk Apolinary urodzony 4 Intego 1907 r.
(nazwisko i imię) (dzień, miesiąc, rok)

w Grzymałach pow. Łomżyński woj. Białostockie.
(miejscowość, gmina, powiat)

syn Michała i Heleny z d. Wiersbowskięj.
(imiona rodziców i nazwisko panięskie matki)

zamieszkały w Charbinie, Siergiejewska 17 m. 2
(dokładny adres)

został wpisany do rejestru poborowych pod pozycją 4 i jest wolny
od stawienia się do poboru aż do odwołania.

W razie zarządzenia poboru zagranicą albo przyjazdu z kraju pozaeuro-
pejskiego do kraju europejskiego, w którym zarządony został pobór, lub w razie
przyjazdu na obszar Rzeczypospolitej Polskiej lub W. M. Gdańka na stałe lub
na okres dłuższy niż 6 miesięcy, wymieniony jest obowiązany stawić się przed
komisją poborową w terminie wyznaczonym przez właściwe władze (urząd konsu-
larny, powiatową władzę administracji ogólnej w kraju).

Charbin dnia 14.9. roku 1936



Franciszek

Franciszek Zaleski
Wicekonsul R. P.

podpis



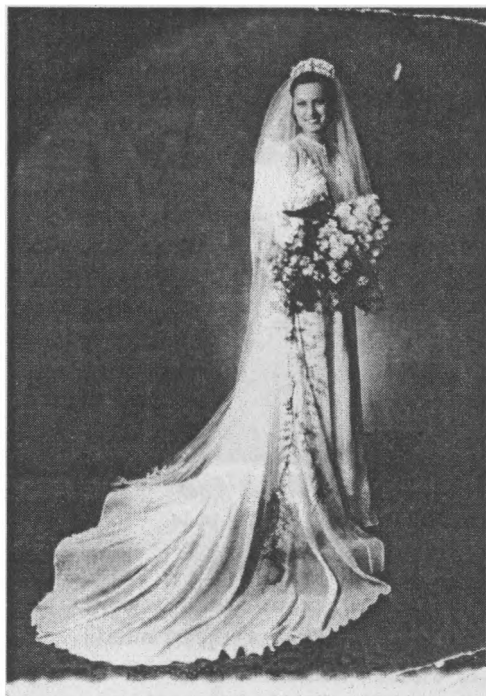
Helena Graczyk, z domu Jasińska, matka autorki



Apolinary Graczyk, ojciec autorki



Helena i Janina Graczykówny, siostry Apolinarego



Antonina Jasińska,
siostra Heleny Graczykowej

Łucja Graczyk w stroju uszytym przez
jej mamę





Łucja Graczyk z koleżanką Zinką

Fotografie i dokumenty ze zbiorów Autorki wspomnień